



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50. na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15.  
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabińej Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Z życia realisty, Obrazek przez Elizę Orzeszkową. (Dalszy ciąg). — Jakób Rothschild, Havin i Rossini (wspomnienie pośmiertne). — Przepaść (Dramat) Pogańska tygodniowa. — Korespondencja z Paryża. — Wiadomości bibliograficzne. — O bieliźnie. — Opis deseni i krojów.

## Z ŻYCIA REALISTY

OBRAZEK

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

— Słuchajcie — ta ludzie! a gdzież to wasza ta pięknota, czarnobrewa?  
— Alboż to panie pisarzu mało krasawic czarnobrewych. Waćpan widać że się pytasz o kogoś? zawołał śmiejąc się jeden z parobków ze znaczeniem.  
— Ba, ba! taki najpiękniejszej niema, ozwał się Chwacki spokojnie majstrując koło swjej laseczki.  
— A któż to panie pisarzu ta najpiękniejsza? zawołało z niezadowoleniem parę kobiecych głosów.  
— A Ulana — to, odpowiedział pisarz nie podnosząc oczu od roboty.  
— Oj najpiękniejsza! żeby takich najpiękniejszych na świecie nie bywało, daj Boże! głośno odezwała się brzydka ryza dziewczyna obydwoma łokciami rozparta na stole i brodę trzymająca w dłoniach.  
— A prawda że niema Ulany! rzekł siedzący naprzeciw niej parobek, i obejrzał się w koło, a gdzież to ona że na wieczerze nie przychodzi?  
— Gdzie? gdzie? kiedy chcecie Hryhory to ja wam powiem gdzie, odpowiedziała ryza dziewczyna, z umizgiem patrząc na parobka.  
— Już jak ty co powiesz Nastazjo, to pewno nie będzie czego słuchać, odpowiedział, odwracając się od niej Hryhory.  
— Nastazja przez stół uderzyła go łyżką po rękę.  
— Ot zobaczymy czy będzie czy nie będzie czego słuchać! zawołała ze złością; już to ja wiem Hryhory, że wy lubicie tę nie dobrego Ulana, jakby już dla was poczciwych dziewcząt na świecie nie stało! ale już to że wstyd to wstyd wam, że się ujmujecie za taką!...  
— Oj że wstyd to wstyd! powtórzyło kilka kobiet, dla was Hryhory wstyd a dla nas obraza!...  
— Głupstwa gadacie baby i dość! niedbale odpowiedział Hryhory krąjąc chleb z bochenka.  
— Głupstwa! głupstwa! zawołały jednogłośnie dziewczęta, może dla was to głupstwa a dla nas hańba i obraza, żeby między nami była taka!...  
— I jakaż to taka? zarzucił jeszcze raz Hryhory.  
— Idźcie tam za górę to zobaczycie! syknęła Na-

stazja, a jak zobaczycie to może potem będziecie wiedzieli, co to poczciwa dziewczyna a co nie!

— A prawda to! idźcie za górę to zobaczycie! chórem zawołało kilka kobiet.

— Już to tobie Nastazjo niema co dowodzić i krzyżeć na Ulana, bo ludzie poznają że tobie zardzość jej czarnych włosów, a z twemi ryżemi to ciebie i czort lubić nie będzie, rzekł Hryhory maczając chleb w kubie piwa, a zwróciwszy się do innych kobiet zapytał.

— A wy to wszystkie czego krzyżycie? albo to wiecie że to prawda co gadają o Ulanie?

— A zapytajcie się pana pisarza, kiedy nie wierzycie! zawołało kilka głosów.

— A lepiej ta idźcie za górę sami zobaczycie, i pocieszcie się swoją hołubką! krzyknęła Nastazja rzucając na parobka dużym kawałem skórki od chleba.

Chwacki podniósł głowę, ręce uzbrojone w scyzoryk, laseczkę położył na kolanach i dobrą minutę wodził oczami po całym zgromadzeniu kiwając głową z politowaniem.

— Oj głupie wy dziewczęta! ozwał się w końcu; tylko gadacie i gadacie i z tego gadania puste słowa wychodzą, wiatr, nic więcej! I doczekacie się tego że wam wszystkim wiele was tu jest dziewcząt w fabryce Horeckiej, ludzie nie spojrzą w oczy i nikt poczciwy żadnej was za żonę nie weźmie, taki wam wstyd i taką hańbę zrobi ta jedna, zniestawi was wszystkie po całym świecie.

— Oj prawdę to prawdę świętą mówicie panie pisarzu, ale i cóż my mamy robić? Z panem dyrektorem żartów niema, gotów nas powydalać z fabryki jak ją wypędzim!

— To na cóż wam ją wypędzać? rzekł Chwacki. Pójdźcie jutro raniutko do zamku i poproście pana żeby ją wydalili — ot i będzie koniec!

— Gdzieby tam pan zrobił co w fabryce bez pytania się pana dyrektora! zarzuciła jedna z kobiet.

— Albo to wy jego nie znacie jeszcze, że u niego każda wasza prośba święta? rzekł Chwacki.

— Toć to prawda! ot pójdziem i poprosim! ozwały się dziewczęta.

— I tylko biedy narobicie, zawołał Hryhory, bo jak się pan dyrektor dowiedzi!

— Zkąd ma dowiedzieć się? dowodził Chwacki, poproście pana żeby jeszcze nic nie powiedział, ale ot tak niby to od siebie ją odprawi i koniec. A jak będzie odchodzić, dodał, to włożycie jej czarne czółko na głowę, niechaj ludzie wiedzą jaka ona!

Na tę propozycję Chwackiego gwar wielki powstał w zebraniu, i wszyscy tak żywo się poruszili iż nie

zważali na to, że gospodyni zaczęła nalewać strawę w misy i stawiała na stole garnki zięjące parą.

— A że warto to warto zrobić jej to, co pan pisarz powiedział! wołało kilka męzkich głosów; za to samo, że wybrała sobie panicza, niby to my wszyscy to już nic nie warci!

— Zacheiało się jej być panią!

— Niedoczekanie jej być panią! wołała Nastazja spluwając.

— Niedoczekanie jej powtarzały inne kobiety.

W tej chwili naprzeciw okna, przy którym stałem otworzyły się drzwi i do izby weszła Ulana. Zaledwie próg przestąpiła wybuchnął chóralny szyderczy śmiech kilkunastu głosów i zabrzmiało również szydercze huczne „dobry wieczór“!

— Dobry wieczór! odpowiedziała dziewczyna zatrzymując się trochę przy drzwiach jakby zdziwiona tym tłumnym wykrzyknikiem.

— Cóż tak prędko powróciliście Ulano? wyrzekł ze śmiechem jakiś głos męzki.

— Zkąd ja miałam powracać? Byłam w sypialnej izbie i kończyłam szyć sobie koszulę, odrzekła.

— No! a za górę to nie byłaś? powtórzył ten sam głos i znowu rozległ się śmiech chóralny.

Ułana zbladła śmiertelnie i oparła się o ścianę, przy której stała.

— No, a gdzie panicz?

— Czy poszedł do siebie czy może jeszcze na ciebie czeka?

— Lepiej byś to zrobiła żebyś poszła do niego czy do jakiego djabła, a nie przychodziła tutaj poczciwym ludziom w oczy patrzeć! syknęła Nastazja.

— Albo to ona wie co to wstyd! wołały inne.

— Oj jabył sama nigdy tego po tobie nie spodziewała się Ulano! toć my z tobą z jednej wioski, a teraz to tak i wstydno przyznać się do tego! mówiła Katryna.

— Słuchajcie Ulano! spojrzycie na mnie choć raz tak jak na panicza patrzycie, niech raz zobaczą jak to wygląda! krzyknął podchodząc do niej zamaszysty parobek.

— A no podnieścież oczy — cóż tak w ziemię patrzycie jakbyście co zgubili czy co? zaśmiał się inny.

— A żeby ona już nigdy oczów nie podniosła, daj Boże! zawołała Nastazja.

I w całym zebraniu rozległy się krzyki i śmiechy. Jak w każdym tłumie bywa, jedna iskra rzucona podnieciła wybuch i zelektryzowała wszystkich.

Widocznem było że głównymi czynnikami tej napęści na Ulana, była długo tłumiona zazdrość kobiet i gniew męczyzn za okazywaną im przez nią

obojętność. Najstarsze i najbrzydsze dziewczęta krzychały najenergiczniej, był to w grubą tylko formę przyrodziany objaw taki, jaki często i w salonach uderza oko badacza.

Śród ogólnej wrzawy jedna tylko gospodyni zajęta swoją czynnością, nie mieszała się do niczego nawet niekiedy z litością spoglądała na Ulana, i Hryhory dwoma łokciami oparty na stole, patrzył na około, wzruszał ramionami i milczał.

Ułana stała kilka minut nieporuszona, niema, z pochyloną głową. Ale właśnie wtedy gdy krzyk i śmiechy najbardziej wzmagać się zaczęły wyprostowała się, podniosła bardzo bladą twarz, skrzyżowała ręce na piersi, i błyszczącymi gniewem i dumą oczyma wodząc po wszystkich, zawołała.

— Ludzie! ludzie! co wam się stało? czego wy wszyscy chcecie odemnie? co ja wam złego zrobiłam? Czego wy mnie obstarpi tutaj jak czarownicę i krzyczycie na mnie?

Słowa te jej do uniesienia doprowadziły żeńską część zebrania.

— Patrzajcie ja! wołały kobiety podnosząc się z ławek z łyżkami w rękach, patrzajcie tu ją bezwstydną! ona jeszcze pyta się co złego zrobiła! Jaka święta! albo ty nie wiesz, że wstyd robisz całej fabryce, że hańbę robisz nam wszystkim, że ludzie potem powiedzą, kiedy tam jedna taka to i wszystkie takie! i nikt pocziwy nie spojry po ludzku na nas!

— I nikt pocziwy nie zechce żenić się z żadną robotnicą z fabryki Horeckiej.

— Co ty złego zrobiłaś? a spojrz no nam w oczy, tylko śmiało! po co ty tam chodzisz na górę żeby z paniczem się widzieć! panią zachciało się być tobie? co?

Na te ostatnie słowa, Ułana postąpiła jeszcze dalej, prawie na sam środek izby, tak że płomień oświetlił ją całkiem. Usta jej drżały ale w oczach nie było ani bojaźni ani upokorzenia, a tylko posępny blask gniewu i boleści.

— Słuchajcie! zawołała a metaliczny dźwięk jej głosu rozległ się czysto po izbie, i zapanował nad bezładnym gwarem, słuchajcie! chcecie żebym wam śmiało w oczy patrzyła? ot i patrzę i nie lękam się ani waszej złości ani waszych śmiechów!

Pytacie się czemu ja chodzę za górę do panicza— to i powiem wam, dla tego że jego lubię, lubię jego więcej jak życie, i żebym miała chatę i ojca i matkę i braci rodzonych, tobym jeszcze jego więcej jak to wszystko lubiła. I nie wstydę się tego ani przed ludźmi ani przed Bogiem, bo niemam żadnego grzechu na sumieniu i sercu, rozkazać nie można kogo ma lubić a kogo nie, a jak biedna dziewczyna polubi panicza, to już widać dola jej taka nieszczęsna, a widzieliście wy, żeby kto kiedy wstydził się swojej doli? Tym tylko wstyd, co swoją złością jeszcze większe robią nieszczęście biednej sierocie!

Całe zebranie zdziwione śmiałością Ułany a może i uderzone wielką siłą moralną jaka rozlała się w całej jej postaci umilkło. Parobcy otworzyli usta i patrzyli w nią jak w tęczę, kobiety poopuszczały ręce i odstąpiły parę kroków. Nagle, koło pieca rozległ się pojedynczy, głośny śmiech mężki.

— Ha, ha, ha, ha, śmiał się Chwacki oparty o mur, i wywijając swoją nowo wystruganą pałeczką; ha, ha, ha, ha. Oto śmiała czarno brewa, to lubię, zuch dziewczyna! Tylko widzisz serce, dodał zwracając się ku niej, że za takie rzeczy ludzie mogą z twoich czarnych włosów zdjąć ot ten gałganek, i włożyć ci zamiast niego inny.

To mówiąc końcem laszczki dotknął liljowego czółka dziewczyny. Ułana cofnęła się parę kroków.

— Ja nie rozumiem was panie pisarzu, rzekła.

— Zrozumiesz jutro! zawołała Nastazja odzyskując moc swego języka; zobaczysz jutro jak cię w czarne czółko wystroją..

Na te słowa drżenie przebiegło całe ciało Ułany, ręce jej opadły bezwładnie, i jęk bolesny wydarł się z piersi.

— A co? niemiło? zawołało kilka głosów, a toć mówiłaś że nie wstyd ci tego, że lubisz panicza — to nie wstyd będzie i czarne czółko nosić!

— A dalibóg ładnie tobie będzie w czarnym wstążce na głowie! zaśmiał się jeden z parobków.

— Ot, jakbym przewidziała że przyniosłam z jarmarku kawałek czarnej wstążki do spódnicy, a teraz na co innego się przyda, krzychała Nastazja.

— Boże mój Boże! ja tego nie przeżyję! jęknęła Ułana, i rzuciła się ku drzwiom, jakby uciekać chciała.

— Nie tak prędko! nie tak prędko gołąbko! zawołało kilka głosów i parobcy zastąpili jej drogę, pogadaj no trochę z nami!

— Popatrzaj na nas, póki swoich pięknych oczów pod czarnem czółkiem nie wypłaczesz?

— Nie spiesz się tak! panicz poczeka!

I jeden z parobków chciał objąć ją w pót i przyprowadzić do stołu. Ale w tej chwili milczący dotąd Hryhory, nagle zerwał się z siedzenia, stanął między Ułaną i otaczającymi ją ludźmi i zawołał.

— Dosyć ludzie! nie dotykajcie się tej dziewczyny! dosyć już, i tak ją namęczyliście, a jutro jeszcze więcej męczyć będziecie! Niechże teraz idzie z Bogiem do swojej izby.

Mówiąc to, łokciami rozepchnął otaczających i otworzył drzwi przed Ułaną, która szybko wybiegła przez nie i zniknęła.

W czasie tej sceny, kilka razy chciałem wbieść do izby i obronić Ułanę przed napastującymi ją ludźmi, ale za każdym razem Maryjka chwyciła mnie silnie za rękę i szeptała.

— Nie idźcie panicz! na miłość Boską nie idźcie! to będzie jeszcze gorzej i zgubicie ją zupełnie!

Gdy Ułana zniknęła już z izby, odszedłem od okna mniej wzburzony, bardziej spokojny niż można się było tego spodziewać, bo postanowienie moje, którego tak długo nadaremnie szukałem było powzięte.

Zwróciłem się do Maryjki i rzekłem...

— Nie płacz Maryjko, Ułanie czarnego czółka nie włożą, i nie się jej złego nie stanie. Ostatni to wieczór, przepędzi ona pod tym dachem i z tymi ludźmi.

Teraz idź i powiedz jej żeby przyszła do mnie, będą przed bramą dziedzińca czekał na nią, bo muszę dziś jeszcze mówić z nią koniecznie.

Maryjka odeszła, a ja wyszedłem za bramę, usiadłem na stojącej tam ławeczce i wpatrywałem się w czarną przestrzeń. Wieczór był bardzo ciemny, kilka zaledwie drobnych gwiazd błyskało gdzieś, gęste chmury włożyły się po niebie.

Kilka minut upłynęło zaledwie gdy lekki szelest kroków ozwał się w bramie, i ukazała się w niej Ułana. Zbliżyła się, stanęła przedemną i wyszeptwała złamanym, ledwie dostyśzalnym głosem.

— Maryjka mi powiedziała że czekacie tu na mnie paniczu.

— Tak Ułano, rzekłem wstając i biorąc jej ręce, chcę ci powiedzieć droga moja, że widziałem i słyszałem wszystko co cię z tobą działo przed chwilą i chcę cię prosić abyś nie lękała się niczego, abyś była spokojna bo od tej chwili winienem ci opiekę i obronę, od dzisiejszego wieczoru uważam cię za narzeczoną moją.

Na dźwięk ostatnich moich wyrazów Ułana zdrząła, podniosła głowę i jakby niedowierzając słuchowi swemu spytała.

— Co wy powiedzieliście paniczu?

— Mówię Ułano, powtórzyłem niosąc jej rękę do ust, że chcę abyś została moją żoną. Jutro wszyscy dowiedzą się o tem, i znajdę dla ciebie takie miejsce, w którym spokojna i szczęśliwa przepędzisz czas póki na zawsze nie połączymy się z sobą.

— Boże mój! jeżeli to sen niechże ja się z niego nigdy nie obudzę! jęknęła i głowa jej bezwładnie opadła na moje piersi. Otoczyłem jej kibić ramionami i przycisnąłem ją do silnie bijącego serca.

Była to chwila upojenia, różkoszna, ale jedna tylko, krótka. Przez chwilę tylko Ułana drżąca, nieprzytomna, zostawała w mem objęciu, nagle usunęła otaczające ją me ramiona, odstąpiła parę kroków, załamała ręce i zawołała.

— Nie, nie, jużem się obudziła! to nigdy być nie może! wy tego nie zrobicie coście powiedzieli!

— Ułano, rzekłem z wymówką, ty mi nie wierzysz! Milczała długo, potem skrzyżowała ręce na piersi i choć drżącym jeszcze ale silnym głosem rzekła.

— Żeby matka moja albo ojciec rodzony, wstali z grobu, albo żeby Anioł Stróż co przy każdym człowieku stoi, przemówił do mnie, to bym nie wierzyła im więcej jak wam wierzę. Ale to coście powiedzieli stać się nie może, i nie stanie. Lepiej niech nad mogiłą moją ruta się zazieleni, niżbym ja miała zrobić taką niedolę, mój ty sokole jasny!

Chciałem mówić ale przerwała mi kładąc dłoń swą na mem rękę i rzekła dalej.

— O, ja myślałam czasem, że przyjdzie może pora, w której mi to powiecie i Maryjka nawet raz mi mówiła: Ułano, może panicz ożeni się z tobą? I my-

ślałam zawsze, że jeżeli powiecie mi to że chcecie abym waszą żoną była to chyba umrę z radości, ale nie dla tego, żeby się to tak i stać miało a dla tego, żebym zobaczyła jak wy mnie bardzo, bardzo lubicie.

— A dla czegoż tak się stać niema? przerwałem zdziwiony.

— Dla tego, powoli odrzekła Ułana, że ja za wasze szczęście pozwoliłabym sobie kraw wytoczyć do ostatniej kropelki, że ja każdemu — toby chciał wam źle zrobić, nawarzyłabym własną ręką tego ziela, co w gajach nad potokami rośnie i ludziom życie odbiera, dla tego że ja was kocham więcej jak moją własną dolę i prędzej skonom, niż wam szczęście popsuje, niż wam los zagrozę.

— Ułano, rzekłem obejmując ją znowu i przyciągając do siebie, co ty mówisz, droga? czyż nie widzisz jakaś ty maie miła? czy nie widzisz że ja bez ciebie żyć nie mogę?

Pochyliła głowę na moje ramie, i cicho mówiła.

— Sokole mój, to przejdzie, przejdzie! jak nie będziesz widział Ułany, to i zapomnisz o niej, i polubisz jaką panią piękną, bogatą, rozumną i będziesz z nią szczęśliwy, a ja biedna, prosta dziewczyna tylko tobym szczęście popsuła. Serdeczny mój! wszak jaby nawet z twemi siostrami mówić nie umiała, jaby przed niemi oczy zakryła ze wstydu, bo one pewno takie same jak ty uczone, a ja umiem tylko pacierz i piosnki moje.

Przyszłaby pora żebys pożalował tego żeś mnie wziął za żonę, i tobie i mnie serca by uschły z żalu. A tak lepiej niech ja jedna cierpię, niech umrę a ty bądź szczęśliwy!

Wysunęła się zwolna z mego objęcia i wyprostowaną bladą twarz swą podniosła ku niebu i powtórzyła.

— Bądź szczęśliwy!

Potem podnosząc rękę w górę, mówiła jakby w natchnieniu, a oczy jej pały śród ciemności.

— Wiele co wieczór przez rok cały błyszczy gwiazd na niebie, tyle niech Bóg da tobie godzin szczęśliwych, niech wszyscy aniołowie niebiescy zjedną na ziemię i otoczą ciebie, aby cię żadna zła moc i żadna niedola nie tknęła, a za te godziny radości coś dał biednej sierocie, za tę miłość co mi tu w piersi boli i pali, ale którejby nie oddała za duszy zbawienie, dziękuję tobie!

Osunęła się na kolana przedemną i nim się opamiętać mogłem ręce moje namiętnie przycisnęła do ust, i poczułem że oblały je lzy jej gorące. Potem nagle się zerwała, zawołała z rozdzierającym łkaniem.

— A teraz bądź zdrow na wieki mój sokole!

I zanim coś powiedzię, zanim pochwyć jej rękę zdołałem pomknęła ku bramie i znikła.

Poskoczyłem do bramy, ale na dziedzińcu nie już nie ujrzałem, ciemność i cisza panowały głębokie, tylko zdala dosłyszałem jedno jeszcze stłumione łkaniem. Rzuciłem się w tę stronę, ale nikogo już nie było; załomy murów tworzyły ze wszech stron ogromne wysokie cienie i w oknach sypialni robotnic błyszczało słabe światelko, jakby zapalanej świecy i po chwili zgasło.

Niewiem jak długo przechadzałem się po dziedzińcu myśląc o słowach i dziwnem pożegnaniu Ułany — ale w końcu przekonałem siebie, że postępowanie jej było wynikiem chwilowej egzaltacji spowodowanej nagłymi wrażeniami, że nazajutrz przełamie jej opór który sądziłem, trwać długo nie będzie. Umyśliłem nazajutrz jak najraniej pojechać do państwa L., opowiedzieć im wszystko i prosić panią aby wzięła Ułanę do swego domu, nim ona żoną moją zostanie. Z tą myślą, wróciłem do mego mieszkania, i resztę nocy przepędziłem prawie bezsennie miotany najdziwniejszymi sprzecznymi uczuciami. Wiedziałem że byłem na drodze dopełnienia obowiązku zaciągniętego względem Ułany, przez narażenie jej sławy i spokoju, wiedziałem że ta tylko droga odda mi w posiadanie kobietę, za którą szalałem — chwilami więc czułem się szczęśliwy — ale do szczęścia tego mieszała się zbyt często gorzka jakaś niespokojność, miałem niewyraźne poczucie, że psułem sobie jakąś część życia.

Rano jeszcze było, kiedy obudzony się ze snu niespokojnego, ubrałem się i kazałem osiodłać swego wierzchowca. Znałem zwyczaj zamkowe i wiedziałem że o wschodzie słońca panowie i słudzy byli tam już obudzeni zwyczajnie, pragnąłem więc jak najspieszniej pojechać do zamku i wrócić już z panią L. którą myślałem, iż niezawodnie sama przyjedzie po

Ulanę. Znałem dobrze państwa L. i ani na chwilę nie wątpiłem że z otwartym sercem przyjmą do swego domu na czas jakiś kobietę, która miała zostać moją żoną. Gdy cały zajęty temi myślami, niecierpliwie wyglądałem przez okno i wołałem aby mi przępliwie podawano konia, otworzyły się trochę drzwi, i wsunęła się przez nie głowa pod-dyrektora.

— Czy można widzieć się z panem? pytał tak pokornym głosem, że prawie w szept przechodził.

Widok jego obudził we mnie wstręt i pogardę, ale zanadto poważnie nastrojony, abym miał wybuchnąć słowami gniewu lub wyrzutu, odrzekłem zimno.

— Wejdz pan.

Wszedł i zaraz u drzwi pokłonił mi się nisko, twarz jego uderzyła mnie wyrazem jakiegom w niej jeszcze nigdy nie widział, był w niej źle pokrywany tryumf, i jakaś szatańską radość.

(d. c. n.)

## JAKÓB ROTHSCHILD, — HAVIN I ROSSINI

(wspomnienie pośmiertne.)

(Dokończenie.)

Rossini po śmierci żony pojął w powtórne małżeństwo, panią Pelissier. Przybył z nią do Paryża w r. 1855 i odtąd zamieszkał stale w tej stolicy.

Chcąc się usunąć od zgiełku wielkiego miasta, kupił w Passy tuż przy lasku Bulońskim małą przetrzeźnię ziemi, na której zbudował sobie dom wygodny lecz niewytorny, założył przy nim piękny ogród, w którym chodował kwiaty własną ręką. Była to dla niego najmiłsza rozrywka.

W obszernej sali tego domu widać na ścianach wielkie portrety, Bethowena, Mozarta, Greta i Boieldieu'ga. Naprzeciw komina główną ścianę zajmuje obraz przedstawiający samego Rossiniego. Wspaniały przedsiónek zdobną posąg wyobrażający wiarę, nadzieję, miłość.

W tym to domu zbierały się pierwsze znakomitości świata artystycznego, o owe to ściany rozlegał się głos najpierwszych tenorów, i najstojniejszych sopranistek na świecie. Wieczory muzyczne Rossiniego zajmowały cały Paryż, w ciągu lat kilkunastu.

Kółko prawdziwych przyjaciół otaczało wielkiego mistrza. Do liczby ich należał książę Poniatowski, znany kompozytor związany z nim od lat młodych ścisłym węzłem przyjaźni. Ci wszyscy, którzy znał bliżej Rossiniego, cenili jego prawy piękny charakter, dla ogółu jednak zalety mistrza pozostały tajemnicą, i śmierć dopiero wykazała je na jaw. Rossini bowiem przez oryginalność właściwą wielu wyższym umysłom, starannie ukrywał własne zalety, tak jak drudzy wady ukrywają.

Z pozorów sceptyczny, był on jednak głęboko religijnym, w wigilją śmierci, kiedy kapłan miejscowy przygotowywał go na nową drogę, zapytany czy wierzy, odrzekł pięknie i pamiętne słowa:

— Gdybym nie wierzył, byłbym w stanie napisać *Stabat Mater*?

Oskarżano go o zawiść względem współzawodników, a szczególnie najgroźniejszego z nich Mayerbeera. Sam Rossini dawał powód do tego wniosku, rzucając nie raz uszczypliwie słowo, które podchwytliwy i powtarzał cały Paryż.

Razu jednego przyjaciół włoskiego mistrza — zapytał go czemu tak rzadko widuje się z Mayerbeerm.

— Nie możemy się nigdy zgodzić — odpowiedział Rossini.

— A to czemu — czyż muzyka Mayerbeera nie zasługuje na ocenienie?

— Zasługuje bez wątpienia. Ja pierwszy przeklaskałem jego trzem nieśmiertelnym arcydziełom: Prorokowi, Hugonotowi i Robertowi Diabłu.

— I on także unosi się nad Semiramidą i Wilhelmem Tellem.

— Nie wątpię odparł Rossini — lecz i tak nie możemy się porozumieć.

— I jakż tego powód.

— On utrzymuje że kapusta niemiecka, równie dobra jak i makaron włoski!

Rossini jednak mimo przygryzek cenił a nawet kochał Mayerbeera. Kiedy pięć lat temu, dano mu

znać o jego śmierci, zemdlął z głębokiego żalu, i nie łatwo zapomniał o tej stracie.

Zarzucono mu także skąpstwo, i obojętność dla rodzinnego kraju.

Jeśli Rossini nie marnotrawił pieniędzy, to dla tego że znał ich wartość i wiedział w jaki sposób użyć ich najwłaściwiej. Nie był jednakże skąpym. W pierwszych latach zawodu swego, kiedy utwory młodzieńczego talentu, więcej przynosiły mu sławy niż złota, kiedy za Tankreda otrzymał ledwie 600 franków, za Otella 800, wtedy trzecią część pozyskanych pieniędzy, posyłał ubogiej matce, z którą prowadził ciągłą korespondencją aż do jej śmierci. Starego ojca kochał tak mocno, że kiedy dowiedział się o jego skonie, przyplącił to niebezpieczną chorobą.

Miło nam widzieć te dowody prawdziwego uczucia, w genialnym twórcy, który potęgą melodji tyle serc poruszył, i napełnił je zachwytem niebiańskich rozkoszy.

Gdyby pierś mistrza martwą była i chłodną, czyżby geniusz jego zdołał sięgnąć w takie wyżyny ideału, czyżby zdołał dokonać takich cudów?

Nie, zaprawdę, taki geniusz nie może być dzieckiem samej jedynie wyobraźni, on zrodzić się tylko może, z harmonji wszystkich władz danych człowiekowi od Boga!

Na zarzut skąpstwa i obojętności dla kraju, testament Rossiniego najwłaściwszą jest odpowiedzią. Przekazuje w nim bowiem rodzinnemu miastu Pesaro, ogromny majątek wynoszący 150,000 liwrow dochodu, kładąc za obowiązek założenie i utrzymanie konserwatorium muzycznego.

Dożywotne jednak użycie majątku przeznacza pozostałej żonie, przez wdzięczność zaś dla Francji, która była mu jakby drugą ojczyzną, zapisuje Instytutowi francuzkiemu, znaczną sumę, od której procent w ilości 6000 franków, ma być obrócony na dwa premia. Z tych jedno otrzyma co rok kompozytor za utworzenie najlepszej opery; dawca kładzie wyraźny warunek żeby premiovany był *melodystą*.

Drugie premium otrzyma co rok poeta który napisze najlepsze libretto.

Rossini ubolewał ciężko nad ubóstwem dzisiejszych utworów poetycznych, przeznaczonych do oper które zamiast podnosić polot ducha w kompozytorach, oziębiają w nich moc natchnienia. Przytacza ją w tym przedmiocie rozmowę jego ze sławną śpiewaczką Borghi.

Artystka mówiła o Verdim, wyrażając najwyższe uwielbienie.

— Masz pani słusność odrzekł Rossini. Verdi jest dziś niewątpliwie najpotężniejszym genjuszem muzycznym. Ale nie ma szczęścia do poetów. Ja, kiedy miałem głowę i serce pełne pieśni, znajdowałem pod ręką Semiramidę lub Desdemone, i na tej kanwie, rozwijałem watek natchnienia. Dziś kiedy Verdi chce tworzyć, libreciści dają mu matkę, która piecze własne dzieci. O tak! poeci zabijają muzykę!

W tymże testamencie Rossini dziękuje Francji za otrzymaną w niej gościnność, i żąda aby w ziemi francuzkiej spoczęło jego ciało. Na pogrzeb przeznaczył 2000 franków z zaleceniem aby się odbył skromnie bez cześć ostentacji, a nadewszystko *bez hałasu*.

Wielki mistrz, po kilkotygodniowej chorobie, umarł w Passy 13 listopada, otoczony kołem licznych przyjaciół, na rękę żony, która była dla niego prawdziwą siostrą miłosierdzia. Poniatowski był przy nim aż do ostatniej chwili.

Mimo pozornego milczenia, Rossini pracował jednak bezustannie, aż do ostatnich lat życia. Pozostało też w rękę żony mnóstwo niewydanych utworów. Jedne z nich przeznaczone dla sceny inne do kościoła, inne znów dla salonu, do śpiewu albo na fortepian. Nie wiadomo dotąd, czy pozostała jaka wykończona opera, któraby dodała nowy liść do bogatego wieńca, jaki świat przyznał mu jednomyślnie.

Ostatnim ze znanych jego utworów, był piękny hymn, odśpiewany w r. 1867, podczas wystawy paryżkiej przy uroczystym rozdaniu nagród.

Rossini uważany jest słusnie za twórcę szkoły w muzyce dramatycznej. Od pierwszej młodości przemyślał on o wprowadzeniu w sztukę stałych zasad — myśl tę urzeczywistnił w Tankredzie. W dwudziestym pierwszym roku życia stał się już nieśmiertelnym!

Do owego to czasu, opery składały się z osobnych części, których nie łączył wspólny węzeł. Długie i zimne recitativa, rozdzierały te części, odbierając im wszelkie życie. Rossini zastąpił te recitativa melodjami, które odnoszą się harmonijnie do ogółu kompozycji, i tworzą z nią jedną wspaniałą całość. U niego każdy akt ma ścisły plan, i właściwą organizacją, z wyraźnym początkiem, środkiem i finałem. Zowią to w muzyce architekturą Rossiniego.

Potężny ten genjusz w przeciągu lat dwunastu, przeistoczył z gruntu muzykę we Włoszech, potrafił wzbogacić szkołę Włoską, nowymi zdobyczami szkoły niemieckiej, nie burząc tego co stanowi główną podwalinę muzyki włoskiej, to jest pielęgnując w niej bogactwo melodji.

Rossini celował we wszystkich rodzajach; cokolwiek wyszło z pod ręki jego, było prawdziwym arcydziełem. Twórczy duch mistrza objawiał się w wszechstronnym kierunku. W *Kopciuszku i Włoszce w Algierze*, rozwija swobodny polot fantazji w *Cyruliku* umie być prawdziwie dowcipnym; w *Sroce Złodziej* humorystycznie rzewnym, w *Tankredzie Semiramidzie* i *Otelli* głęboko patetycznym; w *Fani Jeziora* i *Wilhelmie Tellu* podnosi się do szczytu dramatyczności, a nakoniec w *Mojżesz* i *Stabat mater*, zostawia najpiękniejszy wzór religijnego oratorjum.

Romantyczny w pomysłach, pilnował ściśle klasycznej formy, i ta właśnie synteza, to harmonijne połączenie dwóch przeciwnych prądów, stanowi główne piętno jego genialnych arcydzieł.

## PRZEPAŚĆ.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH I JEDENASTU OBRAZACH

PRZEZ

KAROLA DICKENS'A

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

(Dalszy ciąg)

OBRAZ DRUGI.

Wnętrze domu sierot. Refektarz. Stół nakryty. Odwiedzający goście tworzą różne grupy. — W głębi przy bufecie nadzorcynie krają gorące mięso, inne przynoszą jarzyny na wielkich półmiskach. — Wszyscy chodzą w tę i ową stronę. — Zewnątrz, wesola muzyka zwiastuje przybycie dzieci nadchodzących dwoma szeregami, poprzedzonych muzyką i bębniem, której tambour-majo:em jest jedno z dzieci. Muzykanci stoją z prawej strony, podczas gdy współtowarzysze zasiadają do nakrytego stołu. Czwooro dzieci, na które w obecnym tygodniu przypada kolej, roznoszą potrawy i stawiają przed biesiadnikami, dwaj inni roznoszą sos i jarzyny których każde z dzieci bierze ile chce. Po skończeniu służby, muzyka ustaje, a muzykanci i dyżurni tygodniowi zbliżają się do stołu. Wszyscy stoją w ławkach w postawie wojskowej. — Chwila milczenia. — Wtedy nadzorca stojący przy końcu stołu ukrytym za kulisami, uderza pałeczką w stół, dzieci jednocześnie składają ręce na piersi i zaczynają śpiewać *Benedicite*. Obecni goście zdejmują kapelusze.

ŚPIEW.

Panie! pobłogosław dary,  
Które z rąk Twych odbieramy,  
Przyjmij serc naszych ofiary,  
I dzięki któreć składamy.

Po skończeniu śpiewu dzieci siadają jednocześnie i zaczynają jeść. — Jedni z odwiedzających rozmawiają z siedzącymi koło nich dziećmi, inni kosztują potrawy. Pierwsza para wchodzi na scenę.

Scena I.

Pierwszy mąż. — Pierwsza żona.

PIERWSZA ŻONA, (wchodząc na scenę w chwili gdy dzieci właśnie skończyły śpiewać). A to straszna rzecz! istna jaskinia złości ludzkiej!

PIERWSZY MĄŻ. Co mówisz, duszko?

PIERWSZA ŻONA. Mówię że podobne instytucje są tylko zachętą do podtrzymania niedbalstwa rodziców. Mąż szanujący należycie swoją żonę, nie włóczy się z nią po podobnych miejscach.

PIERWSZY MAŻ. Ależ mam zaszczyt...

PIERWSZA ŻONA. Cóż tam znowu?..

PIERWSZY MAŻ. Mam zaszczyt przedstawić ci, ma się rozumieć, jak najpokorniej, że to ty przyprowadziłaś mnie tutaj.

PIERWSZA ŻONA. Chciałam zobaczyć jakie wrażenie zrobi na tobie widok tych wyrzutek ze społeczeństwa.

PIERWSZY MAŻ. Jak możesz tak nazywać te biedne, nieszczęśliwe dzieci?

PIERWSZA ŻONA. Nieszczęśliwe dzieci! Widzisz go jaki czuły... rozczuła się jakby był ich ojcem.

PIERWSZY MAŻ. Ależ...

PIERWSZA ŻONA. Fe! beżecny zakład!... patrząc na to wszystko trzeba się rumienić za całe społeczeństwo, że mogą być rodzice skazujące dzieci swe na sieroctwo.

PIERW. MAŻ. Przestańże już raz... nie zapominaj żeśmy tu nie sami.

### Scena 2.

Ciąż, drugi mąż, druga żona.

DRUGA ŻONA. (trzymając się z mężem pod rękę). Jakże to zajmujący widok!.. chciałabym ucałować wszystkie te aniołki.

DRUGI MAŻ. Właśnie też! mają tylko kwadrans czasu na obiad, nie bardzoby byli radzi gdybyśmy im przerwali posiłek.

DRUGA ŻONA. A jaki porządek! jak wszystko smacznie przyrządzone! jak wszystkie dzieciaki zdrowo wyglądają.

PIER. ŻONA. To zgroza doprawdy! I na co się zdało być dobrą matką!

PIER. MAŻ. Na to, żeby nie rozłączać się z dziećmi, cieszyć się ich przywiązaniem i pieszczotami, kierować pierwsze ich kroki, mieć podporę w starości.

PIER. ŻONA. Jesteś nudziarz i nieżnośny.

PIER. MAŻ. Cicho! gotów kto myśleć że to dla tego żem się z tobą ożenił.

### Scena 3.

Ciąż, stary kawaler.

STARY KAWALER. Masz tobie! spóźniłem się! (postrzegając pierwszego męża). Jak się masz, Brown.

PIER. MAŻ. Ach! i ty tutaj!

STARY KAWALER. A jakże!

PIERW. MAŻ. (przedstawiając żonę). Pani Brown. (przedstawiając przyjaciela) Żono, mój przyjaciel Buhl.

PIER. ŻONA. Masz też pan po co tu przychodzić. Sliczna instytucja!

STARY KAWALER. (na stronie). Otóż jedna z tych na które patrząc dziękuję niebu żem się nie ożenił.

PIER. MAŻ. Czy często tu bywasz?

STARY KAWALER. Codziennie... dziś pierwszy raz się spóźniłem... zawsze przychodzę przed rozpoczęciem objadu. Wszak każdy z nas Anglików ma do tego niezaprzeczone prawo. Prawda opłacamy na ten cel wysoki podatek, ale za to wolno nam rozciągać nad zakładem nieograniczony nadzór moralny. To też w całej pełni korzystam z mego prawa, wglądam we wszystko i jestem zupełnie zadowolony. Nie mając żony uważam ten zakład za moją rodzinę...

PIER. ŻONA. Niegodziwiec! nie mogę słuchać... wychodźmy.

Wychodzą, drugie małżeństwo zbliża się do stołu; stary kawaler rozmawia z dziećmi. Wchodzi Sara, spogląda po dzieciach, jedne głaszcze, drugim poprawia włosy lub kołnierzyki. Dama zasłonięta woalką, stojąc po za gromadką odwiedzających gości ściga ją wzrokiem, zatrzymuje i rozmawia chwilę, potem zwraca się ku drzwiom.

### Scena 4.

Dama zawołowana. — Sara.

SARA. Pani tu!... zapomniałaś swego przyrzeczenia?

DAMA. Nie, Saro...

SARA. I pocóż tu przysłaś?

DAMA. Chcę cię prosić o jedną jeszcze łaskę.

SARA. Wszak przysięgłaś mi pani że w żadnym wypadku nie będziesz żądać odemnie ani słowa więcej, jak tylko powiem ci imię i nazwisko twego syna?

DAMA. Tak jest, to też nie żądam ani słówka, nie coby mogło cię narazić, błagam tylko o jakikolwiek ruch, o jedno spojrzenie lub poruszenie głową, a będę szczęśliwą matką. Saro! wszak ani ja nie złamię uczynionego ci przyrzeczenia, ani ty nie przekroczysz swoich obowiązków, jeśli nie mówiąc pokażesz mi które z dzieci nazywa się Ryszard May. O! nie odrzucaj mój prośby, upadnę do nóg twoich, na kolanach błagać cię będę!.. O! doprawdy, chyba oszaleję z boleści!..

SARA. A! czuję że zrów ulegnę złym poszeptom. Co za nieprzepartą władzę wywierasz pani nademną, że tak do głębi wstrząsasz moim sercem.

DAMA. Nie Saro, to nie moja władza, to twoja zająca poczciwa natura, to własne twoje czułe i litościwe serce przemawia za mną; dzięki jemu wrócisz mi syna.

SARA. Cicho, odwróć się pani, patrz na nas, zgubisz mnie. Zbliża się do bufetu stojącego przy drzwiach wchodowych, ustawia talerze i stoi odwrócona od damy, która odwróciła głowę i patrzy ku stolowi). Patrz pani w przeciwną stronę i słuchaj co powiem. Obejdę w koło stołu, zatrzymam się ku końcowi i zacznę mówić z chłopcem siedzącym przy twoim synu; ten na którego ramieniu podczas mój mowy położę rękę, nazywa się Ryszard May.

DAMA. Och! dzięki ci, dzięki, już nie powiem ani słówka, tylko z nieopisanym niepokojem czekać będę chwili, w której dasz mi poznać mego syna. O! przez litość niech nie czekam.

(Sara przechodzi z wolna koło stołu i doszedłszy do miejsca zaczyna coś mówić do jednego z dzieci, a siedzącemu obok kładzie rękę na ramieniu. Dzieci te siedzą plecami do publiczności. — Sara podnosząc rękę po chwili, rzuca damie znaczące spojrzenie, dama w głębi wsparta o mur spogląda na to z coraz żywszym wzruszeniem. — Sara odchodzi — wtedy dama prędko zbliża się do wskazanego dziecka, z którym właśnie rozmawia druga żona.

DRUGA ŻONA. Sliczny chłopczyka? nieprawdaż.

DAMA. (z żywym wzruszeniem) Och tak! (zatrzymuje się zmieszana).

DRUGA ŻONA. Możesz pani z nim pomówić — każdemu wolno tu rozmawiać z dziećmi.

DAMA. (na stronie). Każdemu!.. mój Boże! a ja dwanaście lat oczekiwałam tej chwili!

DRUGA ŻONA. (kłania się damie i odchodzi).

DAMA. (pochylając się do dziecka). Wiele masz lat?

CHEŁPCZYK. Dwanaście.

DAMA. Wychowałeś się w tym domu?

CHEŁPCZYK. Od trzeciego roku życia, powróciłem tu ze wsi gdzie nas oddają na mamki.

DAMA. Czy dobrze ci tu?

CHEŁPCZYK. Tak pani.

DAMA. Czy nie ubolewasz nad swoim położeniem?

CHEŁPCZYK. Jakto?

DAMA. Czy nie pragniesz majątku?

CHEŁPCZYK. A na co mnie majątek.

DAMA. Abyś miał własny dom.

CHEŁPCZYK. Dom ten jest moim domem.

DAMA. Przyjaciół.

CHEŁPCZYK. Współtowarzysze są moimi przyjaciółmi.

DAMA. Abyś znalazł matkę...

CHEŁPCZYK. Matkę?

DAMA. Tak! matkę która cierpi zdala od ciebie... kocha cię... i oczekuje...

CHEŁPCZYK. O! ja chcę poznać moją matkę!...

(Dama chce porwać go w objęcia, Sara zbliża się prędko i powstrzymuje ją nieznacznie. Nadzorca uderza dwa razy w stół, wszystkie dzieci wstają w jednej chwili. Goście odkrywają głowy, dzieci rozpoczynają modlitwę dziękczynną na nutę pierwszej pieśni. Zasłona spada).

(d. c. n.)

## Korespondencja z Paryża.

(Dokończenie).

Uczta przygotowana dla poetów, składała się z samych potraw prowansalskich, a przy stołach zasiadali poeci i literaci, dziś sławni w Hiszpanji, mero-wie, adwokaci południowej Francji, redaktorowie dzienników departamentalnych, razem trzysta osób. Był między niemi Dumas, Saint-René, Tailandier, Sarcy, Monselet, same znakomitości francuskiej literatury, a że przy deserze krążyło wino prowanskie z roku 1472, można więc łatwo wyobrazić so-

bie co to były za mowy, improwizacje, błyszczące czasem prawdziwym ogniem zapału, a czasem tylko świecące i syczące jak fajerwerki.

Minstrel, bard Hiszpański wznosił toast na cześć Francji i Hiszpanji. Mówił długo i bardzo poetycznie: słowa jego czasami zdawały się być rojem motyli, w wiosennych smugach światła, podszeptujących kwiatom polnym, tajemnie podsłuchane w rozmowie orłów, czasami z trzaskiem piorunu przelatującym od Alp do Kordyljerów, blaskiem swym oświetlały całą ludzkość, nad którą jaśniał krzyż korzający małych, a wielkich zmieniający w olbrzymów. W natchnionych słowach barda, migając czasem proroczo dreszczem przejmujące słuchaczy, po którym pociecha jak biała gołąbka, lekkim powiewem skrzydeł, chłodziła zbyt rozgrzowaną wyobraźnię. W zakończeniu rzekł:

— Kiedyśmy jak wędrownie dzikie ptaki, w przelocie zatrzymali się na tej ziemi, trzeźwiąc się pracą a jęcząc w zniechęceniu, zwrócą się zapewne do nas zapytania, pociście przyszli z waszą pieśnią? Czego chcecie od nas dzieci prostoty, związanych sercem z przeszłością? Czego chcemy? Chcemy żeby lud nasz nie przestał wierzyć, kochać i miłować pracę, która im otworzy rajskie wrota przyszłości. Chcemy żeby nasze córki nigdy nie gardziły rodziną Prowancją, żeby nie wdychając do madryckich i paryskich próżności, pozostały zawsze proste uczuciem, czyste myślą, a wzniosłe pragnieniem. Żeby ze wstrętem odpychając zepsucie świata, rodzinny obyczaj przynosiły nad wszystko, i nie zapomniały że język, którym mówi lud tutejszy, był językiem literackim i poetyckim Europy, językiem miłości i oświaty.

Skoro pocujemy tę starą godność naszą, że ludowi Prowancji i Katalonji należy pierwsze miejsce między ludami południa, Prowancja zakwitnie sztuką, urosną w niej ludzie i naród spotęnieje. Piję więc na cześć naszej siostry Katalonji, naszej przyjaciółki Hiszpanji i na cześć Francji naszej matki.

Na mowę tę tryskającą zapałem, jak rozpalone żelazo iskrami pod uderzeniami potężnego młota, trzysta głosów wzniosło okrzyki radości, pijąc na cześć braterstwa ludów. Potem nastąpiły deklamacje rozmaitych wierszy francuzkich, hiszpańskich, prowanskich i w katalońskim narzeczu, były także i improwizacje, nawet ozwały się piosnki, a zakończono wszystko toastem wzniesionym na cześć wiecznej młodości. Na drugi dzień wędrownie to ptactwo, rozleciało się na wszystkie strony, aby ludziom wystygłym, zatopionym w prozaicznych formach etykiety, przynieść wieści, że nie łącząca ziemię z niebem jeszcze nie zerwana, że owszem nową nabrawszy siły stanie się jasną jak pochodnia, której blask wciśnie się nawet do sklepów górniczych żyjących blaskiem kaganka i stukiem uderzeń oskarda.

Nim się to jednak stanie, przyznać należy że wiek ten urodzajny na wino i śledzie, na zjawiska powietrzne i trzęsienia ziemi, zupełnie nie sprzyja rozkrzewianiu się poetycznego ducha.

W życiu poezja przepada, w piśmiennictwie i wydawnictwie tegoczesnym o arcydziełach poetycznych już nie ma nawet mowy, a między ludźmi genjusz poetyczny zamarł dziwiąc się, że mógł żyć kiedyś w całej pełni swojej sławy.

Pomijając inne narodowości, w których dziś łatwiej o kruka białego jak o prawdziwie natchnionego poetę, we Francji Hugo zamiera na skale w pół-śródoceanu, Dumas dogryza resztki swego żywota, Lamartin zapomniawszy nawet że był kiedyś poetą, inni jak gimnastyci lub kuglarze, popisują się z poetycznymi łamaniami, ale nie promienieje z nich boski ogień natchnienia, ani tryska zapał wszystko ożywającego genjuszu. Wprawdzie poezja nie samem żyje słowem, czasami czyn wulkanicznym jękiem zawstydzonych pieśniarzy całego świata, ale czyni podobne rękami całej ludzkości podnoszone, rzadkie to zjawiska. Czasami poezja rozpryska się w pracach jednostek jak płatki śnieżne cieniątką warstewką, obielając znaczne przestrzenie, nie tworząc wyniosłych nasypów, na których orły siadają. Poezja więc nie zamiera nigdy, tylko jej objawy przybierają coraz odmienniejsze formy, odpowiednie potrzebom społecznym i ich rozwojowi. Znajduje się ona wszędzie, przenika wszystko jak powietrze, którym oddychamy, towarzyszy każdej nauce, każdemu badaniu, czy to przy cyrku ścisłego matematyka, czy przy szkle naturalisty, wdzierającego się okiem w nieograniczone przestrzenie światów, lub

w niezgłębioną przepaść życia natury na ziemi naszej rozwinięte.

Nie miejsce tu rozbić stan poezji między Niemcami, pozorna jednak ich drobiazgowość w pracy umysłowej godna zastanowienia. Niech będą one malutkie jak listek trawki, jak igielka choiny, nie gardźmy jednak niemi, z kropel powstały oceany z atomów cały świat żyjący. Nie dawno doktor Barcilai wydał w Tryeście broszurę p. t. Błąd trzydziestu wieków, poświęcone jedynie dowiedzeniu, że słowa wyrzeczone przez Jozuego *Szemech dom* nie znaczą: słońce stój! ale: słońce oniemiéj! a raczej słońce przestań świecić! Wyraz bowiem *dom* według obszernego wywodu tego uczonego badacza i licznych przytoczeń, nie był nigdy używany w znaczeniu spokojnego stania, lecz w pojęciu zawieszenia jakiej czynności, nieświecenia. Pracę tę niejedną nazwie drobnotką, a jednak ta drobnotka zamykała w więzieniach uczonych astronomów, trawiła ich ogniem gorejących stosów i na indeksie pomieściła nieśmiertelnego Kopernika.

Pracę tę we Francji pokryto milczeniem, w Niemczech jednak nie skazano ją na zapomnienie i uczczono szczegółowym rozbiorem, jedynie tylko w tej myślności, że wszystko co jest błędem nie powinno być lekceważone, że błąd rodzi nowe błędy i niby łańcuch żelazny idzie przez dzieje całej ludzkości, gniotąc prawdę rwącą się do życia.

Jeżeli jednak Francuzi nie lubią się zajmować tak mozolnymi studjami, chociaż pr wdziewie uczonych, zamiłowania nauki nie brak we Francji, za to w zręcznym układaniu sztuk teatralnych przodują innym. Z jednego żarciku z malutkiego dowcipu rozwątkują trzy aktową komedję, przyczepią intrygę, wymyślą różne niespodzianki, obsypią wszystko iskrami dowcipu, i sztuka gotowa na przedstawienia, której spieszy tysiące na wyścigi. Nie dawno jeden z młodych dramaturgów paryskich p. Cadol wystąpił z nową komedją p. t. *Les Inutiles*, nie zalecającą się ani nowością pomysłu, ani intrygi jednak wiele udatną, pełną wdzięku i nadobności. Główną osobą jest młoda dziewczyna, sierota ale milionowa, która uznawszy się za brzydką, lęka się małżeństwa jak ognia przewidując w każdym konkurencie spekulanta na posiadane miliony. Około tej panny kręci się zrujnowany magnat pragnący zdobytym posagiem, nadać świetną barwę poblady herbom swojego rodu: młody elegancik patrzący na życie ze stanowiska modnej krawatki i rękawiczki szelnie opiętej: i równie młody adwokat niby uczony, niby filozof i wybornie jednak pojmujący wartość milionów, że nie są plewą ani znikomością.

W pośród zabiegów tej trójki, walczącej z sobą zajadle, zjawia się młody hulak, zjadający życie z pośpiechem pędzącej lokomotywy, ale powabny, wygadany, kłujący sarkazmem a dziwiący rzutnością myśli, wyrwanych czasami jakby z ust Hamletowi. Rzecz odbywa się w domu jego szwagra, gdzie poznaje młodą milionerkę, zostającą na opiece, panna przywiązuje się od razu do młodego marnotrawcy, a on poczuwszy budzące się w sobie nieznane dotąd uczucie, już ma wyrzec słowo miłości, ale powstrzymuje go świadomość, że jest na majątku zupełnie zrujnowanym, że mógłby łatwo zostać posądzonym o interesowność, którą brzydzi się całą duszą.

Z kłopotu tego wybawia go sama panna, która poznawszy tamę jaką sam w szlachetnym uniesieniu stawia swojemu szczęściu, rzeka się milionów na rzecz opiekuna, a ten składa je w ofierze swemu marnotrawnemu szwagierkowi, i tym sposobem małżeństwo przychodzi do skutku. Wprawdzie podobne poświęcenia bezinteresowności już dziś tylko zdarzają się na scenach teatralnych, a nawet i tam rażą swą nienaturalnością, mimo tego cały obraz zwrócić przedstawił, podoba się i bardzo zajmują. Szczególniej uderza w nim, mistrzowskie nie-mal przeprowadzenie wszystkich wzruszeń dziełowego serca milionerki: jej niepewność, wahanie, anatomizowanie uczucia, którego ciepło czuje że rozgrzewa i uszczęśliwia, a nie śmie sięgo dotknąć aby nie zmrozić okropnym zawodem.

## POGADANKA TYGODNIOWA.

Starzy nasi ojcowie powiadali, że co majędną głowę to nie dziwadło, tylko to co dwoma przynajmniej zapatrzone, jeżeli nie trzema. W jakim przystroju

rok bieżący przeżył dzień swego żywota trudno ocenić, ale musiało w tem być coś nieprawidłowego, zważywszy wszystkie jego wybryczki, jakimi nieprzestaje popisywać się często, na bardzo wielkie ludzi utrapienie.

Przedewszystkiem z szumem, hukiem i błyskiem przebiegały w powietrznym widokregu, różnego rodzaju meteory, dziwiąc nie tylko ciekawych i przesądnych, ale samych nawet astronomów dość obznajmionych z podobnego rodzaju zjawiskami. Potem nadeszło lato tak słoneczne i upalne, że tegoroczne winobrania staną górą nad winami, nawet z 1811 roku skazując wszystkie jego zapasy na wypicie i wykreślenie z rubryki sławy jaką tak słusznie słynęły.

Po meteorach, powodziach i skwarach nastąpiły cuda roślinnego świata, gruszki pięcioletowe, buraki jak dynie, dynie jak beczki i podwójne w ciągu jednego lata, obrodzenie krzewów i drzew owocowych.

Podobny wypadek miał miejsce w Marsylii na gruszkach i malinach, a w Arquex jedna z poważnych grusz służąca już wnukom swego założyciela, tak się rozbrzykała, że potrójnym plonem w Czerwcu, Sierpniu i Październiku, ukoronowała sędziwe swoje konary.

Następnie posada nasza ziemna czy z podziwu czy z zimnicy, przebiegającej ją prądem elektrycznym z mroźnych krain ludzkiego serca, zaczęła trząść się w różnych miejscowościach, nawet takich, w jakich o tej chwilejności skorupy naszego globu, nie miano nawet pojęcia. Kłęska ta dotknęła Szwajcarię, Siedmiogród, prowincje Nadreńskie, Szwabję około Ulmu, Stany Zjednoczone Ameryki, Meksyk, brzegi Australji, obszary Afryki, a nawet jak się zdaje okolice Rużyna w powiecie Skwirskim w gubernii Kijowskiej jak to potwierdza wiele osób zjawisko to uważających. Zniszczenie jakie zrzuciły były straszliwe, zapadały się całe wsie i miasta, grzebiąc w jednej sekundzie tysiące ludzi: burzyły się morza, rozbijały okręty w portach, przewracały lasy jakby ze zdziębek słomy złożone, słowem natura występowała w całej swojej grozie, jakby chciała się popisać z całą swą potęgą. Jednocześnie ogromne śniegi spadły w środkowej Europie idąc pasem przeważnie ku południowi nachylonym, oszczędzając strony północne wyczekujące z upragnieniem tego zabawczego dla siebie okrycia. W Stanach zaś Amerykańskich w połowie zeszłego miesiąca, przez dwie noce w północnej porze, przestrzenie niebios wydały się jakby zasiane kulami ognistymi, przebiegającymi horyzont w różnych kierunkach. Pomiędzy niemi było dwa szczególnie wielkości i świetności, jeden mniejszy dochodził rozmiarów głowy ludzkiej, a oba pękawszy z wielkim hukiem pozostawiły po sobie obłok zgęszczonego dymu, widzialny potem jeszcze przez pół godziny. Astronomowie w obserwatorium warszawskim śledzący pilnie to nadzwyczajne zjawisko, naliczyli w przeciągu pół szósty godziny przeszło pięć tysięcy palących się meteorów nie słusznie nazywanych spadającymi gwiazdami. Jakby dla dopełnienia tych nadzwyczajności korespondent z Płockiego donosi, że w okolicy miasta Bieżunia przed niedawnym czasem miało miejsce dość także niezwykle zjawisko. Wieś bowiem Gałuszyn dała się widzieć wsi Sławęcino, odbita na obłokach w przeciwną stronę bardzo wyraźnie i ze wszelkimi szczegółami. W tymże samym prawie czasie nadeszła wiadomość z miasta Prasnysza, że tam ujrzano w obłokach jakby część morza i płynący na niem okręt z rozwiniętymi żaglami. Złudzenia podobne optyczne, pochodzące z łamania się światła przy mieszanii się warstw powietrza ciepłego z zimniejszym, zdarzają się często w Islandji i przy brzegach Szpicbergu, u nas jednak kto wie czy nie pierwszy raz miały miejsce.

Notując te nadzwyczajności powietrzne i wstrząśnięć ziemskiej naszej siedziby, kilka słów poświęcić muszę kopalniom Wieliczki, którym grozi zupełne wodą zalanie. Wprawdzie energiczne działania ujęcia w karby niebezpiecznego żywiołu, rozwinięto z wielkim pośpiechem i dzielnością, jest nawet wielka nadzieja ocalenia tych prawdziwie złotodajnych salin, ale to jeszcze nie pewność. Handlarze jednak soli korzystając z wypadku tego podnieśli już cenę funta o kopiejkę.

Warszawa tymczasem wolna na szczęście od wszelkich zjawisk nadprzyrodzonych, napełnia jak zwykle sale koncertowe, zachwycając się wybornym wyko-

nywaniem arcydzieł muzycznych, zarówno przez orkiestrę jak przez artystów solo występujących.

Pomiędzy zapowiedzianymi koncertami, dwa z nich na największe poparcie zasługują. Pierwszy na korzyść Towarzystwa wsparcia podupadłych artystów, owych pracowników orkiestrowego grona, przyczyniającego się tak dzielnie do powodzeń koncertowych. Odnoszone bowiem ztąd niewielkie korzyści, wystarczają za ledwie na chleb powszedni: odbierane pochwały nawet sekundy sławy nikomu z nich nie dadzą; wprawdzie zadowolenie własne coś warte, ale cóż z tego wszystkiego zostanie dla przyszłości, gdy biednemu artyście czas odmówi siły do wydobywania tonu smyczkiem albo piersią? Na rzecz więc tej przyszłości, winniśmy ponieść ofiarę w licznych zebraniach się na mający się urządzić koncert, co nawet wymagać nie będzie zbyt wielkiego poświęcenia zważywszy, staranny układ programu i zapowiedziany w nim współdziałanie pierwszorzędnych artystów.

Drugim rozleglejszego znaczenia jest koncert, mający się dać w celu zebrania odpowiedniego funduszu na założenie garkuchni ludowych, a pomysły przez pana Kwatryniego dyrektora opery warszawskiej. Nie zależnie od tego a na tenże sam cel, jeden z obywateli tutejszych p. Ws: Ist. zobowiązał się złożyć na ręce Redaktora Kurjera Codziennego p. Kucza rs: 300, a jedna ze znakomitych osób już doręczyła rub: sr. sto p. Al. Prejssowi przesowi administracji ogólnej Tow: Dobr: Ta gotowość niesienia pomocy biednemu ludowi, to skrzętne zajęcie się tak ważną dla niego sprawą, kogoż szczerze nie rozraduje? Tylko tą drogą, natychmiastowego wprowadzania w wykonanie myśli pożytecznych, społeczności dochodzą do pomyślnego rozwoju. Innej nie ma, z roli kamienistej każdy kamień, ręką ludzką musi być wyniesiony, żeby ta z dzikiej w rodzajną się zamieniła. Przypomną sobie zapewne Czytelniczki nasze, wiadomość jaką dawniej jeszcze pomieściłem w Tygodniku Mód o p. Ludomirze Benedyktowiczu nieszczęśliwym młodzieńcu, pozbawionym obu rąk a jednak poświęcającemu się malarsztwu, jako zawodowi mającemu dać mu w przyszłości jedyny środek utrzymania. W roku zeszłym były nawet na Wystawie dwa obrazy jego pędzla, które spieniężone razem z wpływami z innych źródeł, podały mu możność wyjazdu do Monachjum, dla nauki i kształcenia się. W liście do jednej z naszych zacnych pań, szczególniejszej opiekunki wszystkich mających prawo do pomocy i ratunku, pisany we Wrześniu tak starannie i wyraźnie że niktby nawet nie przypuścił, iż kreśliło go pióro trzymane nie palcami, ale osadką przymocowaną do całej ręki, otóż w liście tym pisze młody artysta: Tak zwiedziwszy wszystko w Krakowie i około Krakowa, wyruszyłem w dalszą drogę. Podróż moją nie będę opisywał; do dziś dnia nie jestem w stanie zdać sprawę jakim sposobem dałem sobie sam jeden radę. Dziś jednak już od dwóch tygodni jestem w Monachjum i zajmuję wspólnie z drugim dosyć obszerny pokój z pościelą, z meblami i wszystkimi przy należnymi rekwizytami, a to wszystko za 7 guldenów miesięcznie na obydwóch. Stołujemy się również tanim sposobem, bo za siedem krajcarów dziennie na jednego, mamy po dwie szklanki mleka i po bułeczek rano i wieczorem, a za 14 takichże krajcarów w przystępnej bardzo traktjerni objad, składający się z czegoś co się tu nazywa zupą, drugiego także czegoś podawanego na spodeczku, a noszącego nazwisko potrawki, sporządzonej z cielęcej śledziny i nareszcie z porządną i dobrze przyrządzonej porcji cielęcej pieczeni. Ja zwykle kwituję z pierwszego i drugiego dania a poprzestaję na trzecim, tym więc sposobem robię trzy krajcary oszczędności, za które najadam się owoców jak to mówią po same uszy. Monachjum więc to raj pod względem taniości dla takich jak ja chudeuszów, to też jakiś czas z łatwością się utrzymam, potem nie wiem co będzie, ale mam w Bogu nadzieję że nie zginę. Przyjechałem tu miesiąc za wcześniej bo teraz są wakacje i dopiero w pierwszych dniach Października rozpoczyna się kursa. Wszyscy artyści a między niemi i moi koleźcy siedzą w górach. Byłem u Kaulbacha, oglądał moje rysunki i mówił, że nie może zrozumieć jakim sposobem potrafiłem zmusić moją rękę do rysowania. Wróżył że przy usilności wkrótce będzie lepiej, co mnie bardzo pocieszyło, bo do tej namawiać nie potrzeba. Pracą też zajęty jestem od rana do nocy, rysuję, studjuję oglądam arcydzieła i uczę się je-

dnocześnie niemieckiego języka. Trudna to nauka ale nie brak mi na woli i ochocie, a proszę widzieć z jaką to pompą idę prosić o co mojej gospodyni, wyszukawszy wprzód potrzebnych wyrazów w słowniku.“

Oto są ważniejsze szczegóły z pierwszych dni pobytu jego w Monachjum, później podam więcej bo krogóż nie obejdzie los młodzieńca, bez rąk, bez zasobów, dobijającego się na obcej ziemi nauką i pracą lepszej doli w przyszłości?

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

„Wiedza czyli Zbiór popularnych odczytów z literatury i nauki.“ Pożytecznej tej publikacji wyszło już sześć zeszytów, mieszczących sześć oddzielnych rozprawek, a mianowicie:

Zeszyt 1. *Prawa i obowiązki społeczne* Schulzego Delitsch'a. z. 2. *Znaczenie i postępy tegoczesnego prawa narodów* D. Bluntschlego przekład Wł. Sab. z. 3. *Cena pracy*, dwa odczyty D. Engla przekład W. Sab. z. 4. *Kwestja mieszkań* D. Lettego przekład Adama Grąbczewskiego z. 5. *Ulepszenia w społecznym i ekonomicznym położeniu kobiet*, D. Holtendorfa przekład W. Sab. z. 6. *O przesądach i mistycyzmie w medycynie*, Zyg. Rosensteina, przekład W. Sab.

Każdy z wliczonych przedmiotów jest ważny; zawiera mnóstwo nowych idei, o których niejednemu, co się ma nawet za ukształconego, ani się śniło, albo też śniło się tylko, tu zaś znajduje je sformułowane i w pewnym ładzie ustawione. *Wiedza* skromnymi swojemi książeczkami szerzy światło w narodzie, dla tego, bodaj czy nie jest najważniejszą na dziś publikacją, chociaż o niej, z powodów, o których nie miejsce tu rozprawać, tak mało słyszemy po naszych piśmiech periodycznych. Każda z tych książeczek daje pokarm duchowy zdrowy i pożyteczny. Po przeczytaniu takiej rozprawki, uważny czytelnik, jeśli dopełni i w myśli rozwinięto, co dla krótkości pominięte zostało, śmiało powiedzieć może, że o danym przedmiocie ma pewne i jasne wyobrażenie, a w każdym razie wie, gdzie szukać dalszego światła, i jakimi drogami dojść do niego można. Z duszy pragniemy, aby *Wiedza* znalazła to uznanie, na jakie zasługuje. Czy Redakcja *Przeglądu Tygodniowego* dobre interesa robi na tej publikacji, to nas nie obchodzi, to wszakże pewna, iż dobrze się zasługuje krajowi.

Nim obszerniejszy rozbiór *Wiedzy* zamieścimy w piśmie naszym, pozwalamy sobie następujących parę uwag uczynić. Wybór odczytów jak dotąd dobry i trafny, ale, że to wszystko są prace uczonych Niemców i z niemieckiego języka przepolszczone, więc wszystkich starań dolożyć należy, aby przekład był *poprawnie* i *przystępnie* oddany, aby tym sposobem w samą rzecz była to *popularna* publikacja. Żeby ją zrozumiał, pojął i mógł sobie przyswoić każdy czytelnik nawet niedość naukowo usposobiony. Dla tego należy: 1. Unikać wszelkich abstrakcyjnych wyrażen do których tak się przyzwyczaił język niemiecki. Bo chociaż do idealistów nie można policzyć tych panów, których prace czytamy, chociaż wreszcie i sam przedmiot wybrany nie należy do spekulacyjnej filozofii, to przecież bez ogólników strasznie abstrakcyjnych i ciemno wyrażonych wcale się tu nie obezło. 2. Jeśli koniecznie trzeba użyć jakiego technicznego mało znanego naukowego wyrazu, to w przypisku należy go objaśnić, chociażby to nie dla jednego było użytecznem. 3. Uwagi, sprostowania, lub zwroty do swojskich rzeczy, jakie czyni p. W. Sab. wiele są pożądanane. Zdawaja się tym sposobem wartość każdej rozprawki.

„O lampach do domowego użytku i sposobach obchodzenia się z niemi, przez Feliksa Wermińskiego.“ Warszawa 1868 r. in 8-vo Autor broszurki wziął za godło: *Ita valet corpus, sicut valet oculi*, i wielką miał słuszność, bo od zachowania zdrowych oczu zależy nietylko zdrowie naszego ciała, ale i duszy, a zatem całe życie nasze. Nie zaś szkodliwiej na wzrok nie działa, jak niedostateczne lub niewłaściwe oświetlenie. Świece łojowe, woskowe, stearynowe, olój, gaz, kanfina, wreszcie tak dziś upowszechniona nafta, wszystko to dobre do oświetlenia, ale wszystko ma swoje dogodności i niedogodności, szczególnież też dla ludzi zmuszonych długo pracować przy sztucznem świetle. Gaz, nafta, mocne dają

światło, ale szkodliwie działają na oczy; olój, świece stearynowe, za drogie, świece łojowe stosunkowo najdroższe i najmniej wyrobiane i t d; i t d:

Wszystkie te kwestje broszurka roztrząsa i jeśli stanowczo ich nie rozwiązuje, to niejedną pożyteczną daje nam przestrożę.

„*Tabliczka dzielenia*“ ułożona na wzór tabliczki mnożenia Pitagoresa przez Alexandra Karasowskiego. Warszawa 1868 r. in 8.

Zamiast ciastka można dziecku kupić za 5 groszy ową tabelkę, a przy nauce tabelki mnożenia, ułatwi mu się naukę dzielenia. I to coś warte.

„*Eurypides*“ — *Nieprzyjaciół kobiet. Studium z literatury greckiej podług źródeł klasycznych*, przez L. S. Wieczora. Warszawa 1868 in 8.

Autor w swój pracy złożył dowód znajomości traktowanego przedmiotu. Więcej takich studiów, a nie będziemy potrzebowali zazdrości uczonym Niemcom. Broszurkę P. Wieczora nawet profani z przyjemnością przeczytać mogą.

„*Pocziwość i praca czyli historia biednej sieroty*“ przez autora pogadanek niedzielnych Warszawa. 1868 r. in 16.

Moralna ta powiastka wyszła z pod pióra F. S. Dmochowskiego, Nestora literatów naszych, nie więc dziwnego, iż odznacza się językiem poprawnym, stylem łatwym i potoczystym. Autor nie prawi co kilka wierszy nudnych morałów, lecz faktom mówić każe, ztąd większe w czytelnikach swoich budzi zajęcie.

„*Terapia popularna, czyli wskazanie sposobu radzenia sobie i innym w razie nieobecności lekarza i do przybycia tegoż środkami nieszkodliwymi i najpewniejszymi ze wszystkich znanych metod, ale podług zasad i przepisów homeopatycznej szkoły*, napisana przez D. Stefana Kuczyńskiego etc. Warszawa 1868 r.

Sam tytuł wskazuje treść dziełka, o ile zaś odpowiada ono swemu przeznaczeniu, różni, różnie sądzą, stosownie do tego, jak należą do zwolenników homeopatii, alleopatii, lub też hydropatii. Zwracamy przy tej sposobności uwagę, że od pewnego czasu homeopatia zaczyna u nas robić postępy, i co raz więcej z naukowego stanowiska jest traktowaną.

## Korrespondencja z Paryża.

### O BIELIŹNIE.

W jednym z pierwszych magazynów Paryżkich widzieliśmy białinę przygotowaną do wyprawy, i wystawioną na widok publiczny. Pomijamy tu przedmioty nadzwyczajnego zbytku, jak naprzykład prześcieradła bogato haftowane, obszyte prawdziwą koronką „valenciennes“ powiemy tylko o zwyczajnej białinie stanowiącej część tej wyprawy.

Koszule dzienne z cienkiego płótna, miały w górze jakby karczek szeroki na trzy palce, ujęty w wązkie przystębnowane listewki. W poprzecz szła drabinka z takichże listewek, a pomiędzy tą drabinką, przymarszczone kwadraciki batystowe tworzyły wodę. Na wykroju naszyte były haftowane ząbki batystowe. Rękawki bardzo krótkie, składały się z takichże wody ujętej w dwie listewki.

Inne koszule dzienne miały takż sam karczek, objęty waznuchną wstawką haftowaną na batyście. W poprzecz szła drabinka z takichże wstawek, w bliższych odstępach. Pomiedzy szczebelkami naszyte były kawałki wstawki walansienowej. Na wykroju szła lekko przymarszczona walansienka.

Koszule nocne, miały przody układane w wązkie zakładki, przez środek listewka szeroka na dwa palce, spinała się na rząd perłowych guzików. Na jedną stronę siedł zabocik batystowy drobno rurkowany. Kołnierzyk wykładany, miał rozki cokolwiek przedłużone. U rąk szły mankiety karbowane batystowe, — nad falbanką dana była listewka na dwa palce. Inne koszule nocne miały karczek okrągły szeroki na cztery palce, z podwójnego płótna, zahaftowany atłaskiem. Po obu stronach, tak od strony szyi jak i poniżej — szła wążka na palec, falbaneczka batystowa lekko haftowana. Z przodu na rozcięciu dana była listewka tak szeroka jak karczek — haftowana, otoczona falbanką. Rękawki miały mankiety odpowiedni.

Kaftaniki nocne z cienkiego perkalu i półbatystu odznaczały się różnaitością w ozdobach. Jedne ubierają składanemi ząbkami, inne bufkami marszczonemi albo wstawką haftowaną i zakładczkami. Uważaliśmy jeden, z szeroką przez środek listewką, spinaną na guziki. Po obu stronach listewki szła wążka haftowana falbaneczka. Po za listewką dana była wstawka haftowana, tworząca ukośne krzyże, a raczej litery X, powiększające się coraz bardziej ku dołowi. Kołnierzyk gładki wyłożony, obszyty był falbaneczką. Rękawki podobnież zakończone. Nad falbanką szła wstawka na krzyż.

Inny kaftanik półbatystowy z podobną listewką przez środek, miał szeroki karczek, oznaczony haftowanemi wstawkami, i drabinką z wązkiej listewki. Kołnierzyk do tego stojący w małe zęby. Rękawki kończyły się mankiety odpowiedni, odwiniętym na wierzch, z zębem w środku.

Czepeczki batystowe nocne w formie *paysanne*, mocno zachodziły na czoło. Jeden z nich miał osobną szlarkę, składającą się z podłużnych bufek przesypanych wązkiemi listewkami. Główka bufiasta oddzielona szeroką wstawką, obejmowała warkocz. Przy twarzy szła haftowana falbaneczka batystowa. Takież końce wiązały się pod brodą albo w tyle, stosownie do woli.

Inny czepeczek miał na wierzchu naszytą katalankę, złożoną z wstawek haftowanych i walansienkowych. Przy twarzy szła falbanka podwójna, obszyta walansienką, rozszerzona nad czołem. Końce do wiązania objęte były także walansienką.

Spódniczki były też rozmaite. Jedna z nich miała u dołu falbanę szeroką na półtory ćwierci, zaprasowaną w zakładki, i ujętą u dołu w listewkę. Przez tę falbanę przechodziły trzy razy zęby z podwójnego perkalu, szerokie na cal zakończone spięzasto.

Inna spódniczka, miała takż samą falbanę, którą pokrywały w części greckie zęby objęte haftowaną wstawką.

Szalfroczek ranny perkalowy sięgający do ziemi, zakończony był zaprasowanym wolantem, nad tym wolantem spadała wążka falbaneczka, zakończona w zęby objęta walansienką. Przód stanika i spódniczki spinał się na rząd perłowych guzików. Po za guzikami szło odwinięcie na obie strony — ogarniowane falbanką na trzy palce. Brzegiem falbanki szła również walansienka. Rękawki zwyczajne, wolne, przybrane były falbanką u ręki, równie jak i na ramionach. Pasek perkalowy wążki kończył się z tyłu takż kokardą i szarfami. U dołu szarf spadała falbanka, w koło zaś szła tylko walansienka zakończająca również brzeg falbanki.

Poszewki haftowane w koło — z haftem rozszerzonym po rogach — miały w środku wyrobione cyfry znacznych rozmiarów.

Prześcieradła do wyłuzenia na koldrę — miały również wielkie cyfry, haftowane u brzegu, w połowie szerokości.

Uważaliśmy jeszcze spódniczki pikowe do włożenia pod krynolinę, zakończone ząbkami rozmaitych rozmiarów.

Spódnice na krynolinę, jedne muslinowe, drugie półbatystowe, to znów perkalowe powłóczyste w tyle, miały szeroki wolant u dołu, przeznaczony do odsadzania trochę sukni.

Chustki do nosa okrągłe były otoczone haftem — brzegiem obszyte walansienką.

Skromniejsze także okrągłe, miały w koło rurkowaną falbankę dzierganą w drobne ząbki.

Staniczki perkalowe na gorset, zakończone były na wykroju wstawkami haftowanemi lub też z walansienki — brzegiem szły haftowane ząbki lub koroneczka.

Kołnierzyki były rozmaite. Jedne angielskie stojące — inne marynarskie, naszyte kolorową pliszką, z końcami u szyi, w formie rogów od chusteczki.

Strojniejsze po większej części stojące — złożone ze wstawki haftowanej lub walansienkowej, i z koroneczki u brzegu, miały wszystkie spadające końce lub kokardy, naszyte z odpowiednich wstawek.

S. z Ż. D.

Na nadchodzące święta magazyn pani Pauliny Reich przy ulicy Czystej N. 638 zaopatrzony został w bardzo gustowne towary i po umiarkowanych cenach, które dla wiadomości czytelniczek umieszczamy. Chustki płócienne francuzkie tuzin od rs. 10 do rs. 15.

Chustki płócienne niemieckie tuzin od rs. 3 do 10.  
 Chustki batystowe niemieckie tuzin od rs. 9 do 16.  
 Chustki batystowe haftowane sztuka od rs. 3 do 11.  
 Garnitury damskie (kołnierzyk i mankiety) od kop. 60 do rs. 7.  
 Neglizyki białe i ze wstążkami od rs. 1 do 6.  
 Bluzki muślinowe i półbatystowe od rs. 3 do 8.  
 Kaftaniki ranne i nocne od rs. 1 kop. 80 do rs. 8.  
 Krawatki damskie od kop. 50 do rs. 2.  
 Woalki czarne i białe od kop. 75 do rs. 4.  
 Fanszoniki czarne i białe od rs. 2 do 9.  
 Blondyny czarnej i białej łokieć od kop. 7 i pół do 30.  
 Tiuliki białe, imitacja walansienek od kop. 3 do 20.  
 Wstawki haftowane i langietki na płótnie, muślinie i półbatystie łokieć od kop. 50 do rs. 2.  
 Półbatyst klarowny i mat łokieć od kop. 35 do 90.  
 Muślin biały i czarny łokieć od kop. 15 do 75.  
 Nanzuk łokieć od kop. 30 do 60.  
 Perkal angielski 2 łokciowy; łokieć od kop. 25 do 60.  
 Karton różnej szerokości; łokieć od kop. 18 do 50.  
 Brylantyna; łokieć od kop. 25 do 60.  
 Pika; łokieć od kop. 50 do rs. 1 kop. 80.  
 Pończochy; tuzin od rs. 3 kop. 60 do rs. 12.  
 Spódniczki białe perkalowe od rs. 4 do 12.  
 Kaftaniki pod ubranie białe i kolorowe wełniane sztuka od rs. 1 kop. 80 do rs. 4.  
 Spódniczki włóczkowe warsztatową robotą i pikowe od rs. 4 kop. 20 do rs. 6.

#### Opis deseni do haftu białego.

N. 1. Szlak na poszewkę do haftu atłaskowego. Zęby dziergane.  
 N. 2. Kołnierzyk płócienny, obszyty płóciennymi ząbkami.  
 N. 3. Mankiet odpowiedni.  
 N. 4 i 5. Kołnierzyk stojący i mankiety z deseniem na haft atłaskowy.  
 N. 6. Kołnierzyk stojący z różkami wykładanymi.  
 N. 7. Mankiet. Brzeg kołnierzyka i mankieta stebnuje się w koło.  
 N. 8 i 9. Kołnierzyk i mankiety do wyszycia czarnym jedwabiem ścięciem łańcuszkowym i meksykańskim.  
 N. 10. Narożnik do krawatki półbatystowej.  
 N. 11, 12, 13 i 14. Narożniki do chustek od nosa. Haft atłaskowy i drobny stembenek.  
 N. 15. Szlaczek na białą spódnicę, kaftanik nocny i t. d.  
 N. 16. Litera Ł. R. z koroną do znaczenia chustek.  
 N. 17, 18, 19. Alfabety do znaczenia bielizny.  
 N. 20. Barbka z krepki i frywolitów czarnych jedwabnych. Krepowa część dzięrga się brzegiem, dając w niektórych miejscach jak deseń wskazuje, ażurowe drabinki i naszyte dzetowe.  
 N. 21. Część ubioru na głowę, składającego się z warkocza ułożonego z listki atłasowych, frywolitek lub koronki gipirowej i rozety, która się na pierśiach przytwierdza. (Rycina 20 w Tygodniku M6d N. 44 uwydatnia ubiorem ten na głowie).  
 N. 21a N. 21b. Wykonanie listków atłasowych do ubioru.  
 N. 22. Pelerynka szalowa. Opis w Numerze 47 Tygodnika M6d i krój w dodatku figura 5a, 5b, 5c.  
 N. 23. i 24. Długa sukienka dla małego dziecka na rękach.  
 Krój w dodatku przy Numerze 47 Tygodnika M6d. Figura 18, 19 i 20.  
 Cienką tę batystową sukienkę, ozdabiają wązkie zakładeczki, haftowane wszywki i także szlaczki. Garnirunek przedstawiony, nadaje się również do ciepłych materiałów np: Kaszmiru i t. p: z małymi odmianami. W miejsce zakładek, można dać szlak naszyty aksamitką, szlaczkiem tureckim lub sutaszem nasładującym podłużne paski, miejsce haftowanych wszywek zastąpi pasek wierzchniego materiału z jedwabną lub atłasową wypustką. Dokładniejsze wyobrażenie, podajemy na dodatku przedstawiającym przed zębami, ułożony w zakładki, ramiączko i wykład bufiastego rękawka. Dół sukienki można łatwo zastosować, gdyż bryty robią się z prostych kawałków. Sukienka licząca 94 cent: długości, 200 cent: szerokości składa się z dwóch części, jedna na

przód, druga na tył, i zszywa się po obu bokach. W środku pleców, na 16 cent: rozcięty rozporek, obrębia się i zamocowywa w dole. W prawym szwie, pod rękawkiem trzeba niedoszyć na tyle, ażeby nianka mogła wsunąć rękę piastując dziecię. Obwód pachy wykrawa się okrągły, 4 cent: wysoki i szeroki, licząc od szwu brytów. Przód sukni układa się w pigę równych kontrafałdów pokrytych od góry, karczkiem w zęby przystembnowanym i ułożonym podług wskazówek N. 18 w zakładki, oznaczone linijkami i wszywczą haftowaną. Przy batystowej sukience, fałdy wycinają się pod karczkiem. Tył sukienki marszczy się zwyczajnie i przyszywa za pomocą wązkiego prostego paska materiału do 10 1/2 cent. długiego a 3 szerokiego, ułożonego jak karczek do przodu, w zakładki. Górny brzeg tych karczków do przodu i pleców, należy oszyć wypustką, i spoić następnie, z również wypustkowanym, w zakładki ułożonym ramiączkiem N. 19. Otaczająca wykrój szyi haftowana szlaczka tak powinna być podszyta, aby została możliwość nawleczenia pod nią wstążeczki, ściągającej sukienkę w górze i związanej z tyłu na kokardkę. Guziczki z pętelkami pod spodem ukryte, spinają karczek z tyłu. Każda bufka rękawa, składa się z 30 cent: długiego, prostego, 8 cent: szerokiego kawała batystu, skrojonego z jednej podłużnej strony, aż do końca do szerokości 4 1/2 cent: Odstąpiwszy na 1 1/2 cent: od obydwóch końców, dolny brzeg bufki marszczy się i wszywa w pasek 16 cent: długi, złożony z wszywki i haftowanej szlaczki. Przy szwie robi się fałda, żeby cały obwód rękawa, sprowadzić do 4 cent: objętości. Sam środek górnej części rękawka, naciąga się na długość 6 cent: na nitkę, formując gęste zmarszczki; dalej cały brzeg górny marszczy się powtórnie, przyczepiając na wierzchu, wykład N. 20 ułożony w zakładeczki i szlarką oszuty. Tak wykończony rękawek, wszywa się nareszcie w pachę, przy czem należy uważać aby szew, na szwie sukienki przypadłał.

#### N. 25. Turniura z włosienicy.

(Krój w dodatku przy N. 47 Tygodnika M6d Fig: 22).

Turniura ta wymaga 30 cent: wysokiego a 100 długiego kawała, lekko zaokrąglonego na bokach i objętego w koło, grubem białym płótnem. Na nim dopiero, idzie falbana w 5 grubych ułożona fałdów, i przyczepiona mocno do obrębnego spodu. Srodkowa, większa fałda, przyfastrzygowywa się wzdłuż spodu, ażeby mocno leżała podług wskazówek ryciny na gwiazdce umieszczonej na ten cel na formie; inne fałdy przyczepiają się mocno u dołu podstawy, co ułatwiają podane podwójne kropeczki. Fałdy przez to są twarde i dobrze podtrzymują suknię.

N. 26. Turniura ze sztywnego perkalu, złożona z trzech falbanek, jedna na drugą spadających, po 100 cent: długich; w odstępie 3—4 cent: od dolnego brzegu, falbany te, wszyty mają gruby sznur dla sztywności. Ostatnia falbana, przyczepiona do dolnego brzegu podstawy, trzyma 16 cent: szerokości; druga 13 ostatnia, tylko 9. Górny brzeg obydwóch turniur obejmuje się mocno tasiemką, która zarazem służy do przywiązywania w stanie.

#### N. 27. Turniura z włosienicy.

Opis i krój w Numerze 47 Tygodnika M6d N. VIII. Figura 22.

#### Opis kroju bluzki muślinowej, kołnierzyków męzkich i damskich oraz czepek nocnego. Bluzka muślinowa z garnirunkiem w kształcie pelerynki.

N. 1. Przednia część bluzki.

N. 2. Połowa pleców.

N. 3. Rękaw.

N. 4. Całość bluzki.

Garnirunek tej ozdoby bluzki składa się z 2 1/2 cent: szerokiej koronkowej wszywki oszutej u góry i 1 i pół cent: szerokości trzymającą koroneczką, u dołu 4 cent: szeroką muślinową falbanką z trzema wązkiemi zakładkami i węższą od poprzedniej, koroneczką. Taż sama otacza wykrój szyi, i przód pelerynki. Rękawy mają garnirowanie odpowiednie całości. Krawaj należy, podług N. 1 dwie części, przypuszczając każdej 3 cent: muślinu na obręb z przodu; podług N. 2 jedną część w całości, podług N. 3 oba rękawy, przy czem pamiętać należy, że spodnia część zawsze jest odmienna. Poobrubiane przody, otrzymują: lewy, małe guziczki, prawy, pętelki do zapinania; następnie robią się zaszewki, i łą-

czą przody z plecami krytym szwem, stosownie do odpowiadających liter. Boczne rozporki i dół bluzki należy wązko obrubić; wykrój szyi wymaga wypustki. Przyfastrzygowawszy podług N. 2 na przodach i plecach koronkową wszywkę, wycina się z pod niej muślin, gęstą okrętką łączy brzegi powstałe z wszywką i dopełnia reszty garnirunku podług powyższych wskazówek i ryciny. N. 4. Rękawy od E do F, i od G do H, razem zeszyte, i ubrane podług ryciny garnirunkiem, łączą się z całością, uważając aby H. na H. przodów przypadało. Przypominamy że w delikatnych materiałach, otwór pachy, wymaga wypustki. Podług tej samej formy zrobić można bluzkę kaszmirową i naszyć pliskami jedwabnemi, koronką albo frendzlą.

#### Kołnierzyk stojący, płócienny, garnirowany koronką.

N. 5. Przednia część szmizetki.

N. 6. Połowa pleców.

N. 7. Połowa paska do szyi.

N. 8. Połowa kołnierzyka.

N. 9. Całość kołnierzyka.

Kołnierzyk ten i mankiety z cienkiego podwójnie branego płótna, ozdabia 1 cent: szeroka koronkowa wszywka i 1 i pół cent: szeroka walansienka. Na kołnierzyk przykrawa się najpierw, podług N. 8 do gładkiej linji tylko, płócienny, podwójny pasek w całości; dalej bierze się koronkową wszywkę 1 cent: szeroką, naszywa podług wskazówek N. 8 atłaskowemi listeczkami 1 i pół cent: wysokimi, żeby połowę nad wszywkę wystawały, i wpuszcza się dolny jej brzeg między dwa brzegi płóciennego kołnierzyka. Zeszyte to, pokrywa na prawej stronie, długi atłaskowy ściąg w rodzaju sznureczka. Z drugiego brzegu wszywki, idzie 1 i pół cent: szeroka walansienka, tak marszczona, żeby między atłaskowemi listeczkami formowała dwie fałdeczki. Tak przyrządzony kołnierzyk przyszywa się podług odpowiadających liter, do paska szmizetki, przykrojonej i uszutej podług N. 5 i 6.

#### Rękawek do stojącego kołnierzyka.

N. 10. Połowa rękawka.

N. 11. Połowa mankieta.

N. 12. Całość rękawka z mankietem.

Na mankiety przykrawa się z podwójnie wziętego płótna podług N. 11 jedną część w całości, przyszywa doń gładko koronkową wszywkę, otoczoną z dwóch brzegów listewką z wyciąganymi nitczkami, i stosując się do odpowiednich liter zaczepia tę ostatnią z koronkową wszywką, naszytą jak kołnierzyk atłaskowemi listeczkami i walansienką. Tak doprowadzony mankiety zeszywa się z boku, i łączy z rękawkiem muślinowym przyrządzonym podług N. 10.

#### Kołnierzyk płócienny z wykładanymi różkami.

N. 13. Połowa stojącego kołnierzyka.

N. 14. Różek wykładany.

N. 15. Całość kołnierzyka.

Kołnierzyk ten i mankiety z cienkiego płótna, ozdabia szlaczek z wyciąganymi nitkami i marszczona walansienka. Przykrawa się podług N. 13 z podwójnie złożonego płótna wązki pasek w całości; podług N. 14 dwie jednakowe części, także z podwójnie złożonego płótna na różki kołnierzyka. W różkach tych odrabia się szlaczek, wyciągając nitki, które się w pewnym porządku układa i po nad szlaczkiem przystembnowywa ukośną płócienną listewką. Pomienione różki wszywają się następnie podług odpowiednich liter między brzegi kołnierzyka N. 13 przeszytego u góry dwoma rzędami stembnowki, dając w koło grubo marszczoną walansienkę. Skończony kołnierzyk, przyszywa się wreszcie do szmizetki ukrajanąj podług N. 5 i 6.

#### Rękawek z mankietem do kołnierzyka z wykładanymi różkami.

N. 16. Połowa mankieta.

N. 17. Całość rękawka.

Mankiet ten przykrojony z podwójnego płótna, podług N. 16 ozdabia się podobnie jak kołnierzyk, szlaczkiem z wyciąganymi nitkami, ukośną listewką, i fałdowaną walansienką. Opatrzony guziczkami i pętelkami, przyszywa się do muślinowego rękawka, skrojonego podług formy N. 10.

